

## 1. *Mowa o Chopinie*<sup>1</sup>

Miałem inaczej Szopenowi służyć – los temu przeszkodził. Że grać nie mogę, spotyka mię kara, bo oto przemawiać mi kazano. Surowość kary potęguje jeszcze to, że głos zabieram po najgodniejszych, najwymowniejszych świeckich ustach w Polsce. Wiem, że zawiodę oczekiwania, przeto proszę: wybaczcie.

### Kilka słów o Szopenie

Zebraliśmy się tutaj dla uczczenia pamięci jednego z największych synów naszej polskiej ziemi. Jak niedawno, w Krakowie, w jasne, niezapomniane dni lipcowe składaliśmy hołd dziękczynny wielkim przodkom, co nam zbudowali Ojczyznę, tak dziś temu, co ją wzbogacił i przedziwnie przyozdobił, upiększył, przynosimy w miłosnej ofierze wdzięczność i cześć. A czynimy to nie tylko przez ukochanie przeszłości pamiątek, nie tylko w poczuciu słusznej, plemiennej dumy, nie tylko dlatego, że w lechickich piersiach naszych drzemią wciąż jeszcze niewygasłe szczątki zamierzchłych wierzeń, których najpiękniejszą częścią było, jest i będzie święcenie Ojców pamięci, lecz w przeświadczeniu zarazem głębokim, że z tego uroczystego święta wyjdziemy silniejsi na duchu, pokrzepieni na sercach. A pokrzepienia, otuchy złaknieni jesteśmy bardzo.

Grom za gromem uderza w naród znękany, cios spada po ciosie; nie lęku, lecz zgrozy dreszcze całą wstrząsają Ojczyznę. Nowe formy życia, które przyjść musiały, przyjść powinny, obudziły się u nas, wśród nocy mar strasznych. Wraz ze zdrowem ziarnem powiało na nas tumanem plewy i pośladu; z jasnym płomieniem wszechludzkiej jakoby sprawiedliwości, przyszły i kłęby ciemnego, kopącego dymu; z lekkim tchnieniem wolności przybyły i fale trującego powietrza i ciężą nad nami boleśnie. W sercach nieład uczuć, w umysłach pojęć zamęt.

---

<sup>1</sup> Mowa wygłoszona podczas obchodu setnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina i Pierwszego Zjazdu Muzyków Polskich, 23 października 1910 r. we Lwowie. Tekst opublikowany w: *Obchód setnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina i Pierwszy Zjazd Muzyków Polskich we Lwowie 23. do 28. października 1910: księga pamiątkowa przedłożona przez komitet obchodu*, Lwów 1912, s. 195-202, zob. też: *Kompozytorzy polscy o Fryderyku Chopinie*, red. Mieczysław Tomaszewski, Kraków 1959, s. 69-107 [tłum. na język angielski: Laurence Alma-Tadema, Londyn 1911, eadem, tłum. na język francuski, Nowy Jork 1911]. Zachowano oryginalną pisownię.

Uczą nas szacunku dla obcych, a pogardy dla swoich. Każą nam miłować wszystkich, choćby ludożercę, a nienawidzieć ojców i braci za to, że nie gorzej może, lecz inaczej tylko myślą. Chcą nas wyzuć zupełnie z rasowego instynktu, cały pokoleń dobytek oddać na pastwę nieokreślonej przeszłości, na łup chaosowi, którego potworne kształty lada godzina ukazać się mogą ponad tonią czasu. W odwieczną budowę świątyni narodu, której potężne wrogów ramiona zburzyć nie zdołały, biją dziś już młoty bratnią kierowane ręką; dla nowych gmachów pono naszych tylko gruzów potrzeba, jak gdyby owych budowniczych na własną nie stać było cegłę. Nad białoskrzydłym, niezmazanym, nad najczcigodniejszym Ojczyzny symbolem kraczą kruki i wrony, chichocą obce a złowrogie puszczyki, urągają mu nawet swojskie, zacierzewione orlęta. „Precz z Polską – wołają – niech żyje ludzkość!” Jak gdyby życie ludzkości ze śmierci narodów powstać mogło!

W takich to czasach rozterki i zamętu myśl nasza zwraca się ku przeszłości i trwożna zapytuje: azaliż wszystko, co było, potępienia i pogardy godne? Azaliż tylko to, co jest, co będzie, lub co być może, warte posłuchu i wiary? ...

Odpowiedź nie trudna. Oto w tej chwili unosi się wśród nas, a nad nami, jasny duch jednego z tych, co byli. Ileż w nim światła, dzielności a mocy! Ileż w nim wysiłku, pracy, trudu a cierpienia! Toć on znojnym trudem, ciężką twórczą pracą, a w serdecznym bólu, na chwałę Ojczyzny ślad swego zaznaczył istnienia. Toć on bezkrwawym bojem, na niwach pokoju, zapewnił zwycięstwo polskiej myśli. Toć on nie działami w kwiatach ukrytemi, ale działami okrytemi kwieciem najcudowniejszym świat cały zdobył dla Polski. O wielka, święta przeszłości, któraś do wydała, bądź błogosławiona!

Utarło się już takie mniemanie, że sztuka jest kosmopolityczną. Jak wiele rzeczy, które się utarły, tak i to jest przesądem. Tylko to, co sam rozum człowieka tworzy, tylko nauka nie zna granic Ojczyzny. Sztuka, a nawet filozofia, jak wszystko, co pochodzi z głębin duszy ludzkiej, co powstaje z zespołu uczucia z rozumem, musi nosić cechy plemienne, musi mieć narodowe piętno. Jeżeli zaś muzyka jest ze wszystkich sztuk najdostępniejszą, to nie dlatego, iżby miała być kosmopolityczną, lecz że jest z natury swej kosmiczną.

Muzyka jedna jest istotnie żywą sztuką. Pierwiastki jej, wibracje, drgania – to pierwiastki życia. Cicha a dosłyszalna, potężna a niepoznana jest ona wszędzie, gdzie jest

życie. Ona łączy się z wód szumem, z wiatrów powiewami, z lasów szmerem; ona jest w żywiołowych ziemi przewrotach, w ruchu planet potężnym, w skrytych a zaciętych atomów walkach; ona jest w światłach i barwach, co olśniewają lub koją nasze oczy; ona jest w krwi naszej krążeniach, w namiętności naszych porywach, w bólach naszych serdecznych... Ona jest wszędzie i sięga dalej i wyżej niż słowo ludzkie sięgnąć może; ona się wznosi ku nadziemskim sferom czystego, niebotycznego uczucia. Energia wszechświata brzmi nieustannie, brzmi nieskończenie wśród przestrzeni i czasu. Jej objawienie, rytm – z prawa Bożego pilnuje porządku, utrzymuje ład światów. Melodye Boga płyną nieprzerwane po gwiazdnych obszarach, po mlecznych drogach, po światach, zaświatach, po ludzkich i nadludzkich dziedzinach, tworząc ten zespół cudny, wiekuisty: harmonię wszechbytu. Powstają ludzie i narody, gwiazdy, słońca, światy, by brzmieć, by dźwięczeć, a gdy ucichną, życie ich gaśnie. Wszystko gra, śpiewa, mówi. Wszystko tylko własnym ruchem, własnym głosem i mową własną. Mówi, gra, śpiewa i narodu dusza, a jak? Słyszymy w Szopenie...

Muzyka ludzka jest tylko fragmentem muzyki wiecznej. W jej formach, myślą i ręką człowieka stworzonych, zachodzą częste przeobrażenia. Czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają, myśli, uczucia coraz to inne przywdziewają szaty. Synowie niechętnie uchylają czoła przed tem, co było ich ojców podziwu i zachwytu przedmiotem. Każdemu nowemu pokoleniu, w zaraniu życia zwłaszcza, w godzinach marzeń i pragnień, upojeń i porywów młodości zdaje się, że ono tylko pcha ludzkość ku nieznanym wyżynom, na nowe kieruje je tory, że ono tylko jest powołaniem do wielkich myśli, do wielkich czynów i do dzieł wielkich. Każde pokolenie pragnie mieć piękno własne. To też powstają dzieła sztuki w tym poczęte duchu, powstają, by usłużyć potrzebom chwili, powstają i trwają niekiedy krócej, niż ich twórcy. Ale powstają i inne, które trwają dłużej, z których po latach wielu widnieje jeszcze znamię pokoleń kilku, znamię epoki i ideału, co jej przyświecał. A są jeszcze i takie, zawsze młodością silne, zawsze szczerością świeże, z których się wciąż odzywa głos pokoleń wszystkich, głos rasy całej i głos ziemi, co je wydała.

Żaden z narodów na świecie nie może się poszczycić takim, jak nasz, bogactwem uczuć i nastrojów. Na harfę narodu naciągnęła ręka Boża strun bezmiar cichych i rzewnych, potężnych i głośnych. Mamy i miękkość kochania, i dzielność czynu, i liryzm szeroką płynący falą i siłą rycerską, waleczną; mamy i tęsknotę dziewiczą, i męską

rozważę, i smutek tragiczny starca, i lekkomyślną młodzieńca wesołość. Może w tem tkwi czar nasz ujmujący, a może też to i wada wielka! Zmiany następują szybko, bezpośrednio prawie: od radosnych upojeń do żalosnych szlochań, od szczytnych porywów do upadków ducha dzieli nas często jeden krok tylko, jedno oka mgnienie. Widzimy tego dowody we wszystkich dziedzinach narodowego życia: w politycznych wypadkach, w społecznych przemianach, w pracy twórczej, w codziennym trudzie, w towarzyskich stosunkach, w osobistych sprawach... Wszędzie, wszędzie. Może to tylko taka przyrodzona właściwość, ale w porównaniu z innymi, sytymi, szczęśliwymi narodami wygląda to raczej na niedomaganie. A jeżeli to niedomaganie, to nazwać je można wrodzoną narodową arytmią. Z tej to arytmii pochodzi zapewne przypisywana nam niestałość i niemoc wytrwania; w niej to należy szukać źródła naszej rzeczywistej, niestety, nieudolności do karnego, zbiorowego działania. W tej to arytmii niewątpliwie tkwi i naszych dziejów tragizm nieszczęsny.

Ani jeden z tych wielkich, którym Opatrzność poleciła duszy polskiej objawienie, nie zdołał tej arytmii dać takiego silnego, jak Szopen, wyrazu. Oni byli poetami. Ich krępowała jasność pojęć, ścisłość słowa, bo nawet nasza mowa, tak dziwnie piękna i bogata, wypowiedzieć wszystkiego nie jest w stanie. On był muzykiem. A muzyka, tylko jego muzyka, mogła oddać tę falistość naszych uczuć, tę ich rozlewność aż w nieskończoności i to ich aż do bohaterstwa skupienie; te szалу porywy, co zda się, skały skruszą i tę niemoc zwątpienia, w której i myśl się mroczy, i chęć do czynu zamiera...

Tylko w tej muzyce tkliwej a burzliwej, cichej a namiętnej, rzewnej a mocnej i groźnej, w tej muzyce, co się rada wymyka od dyscypliny metrycznej, co się uchyla od karności rytmu, co nie znosi metronomu jak znieawidzonego rządu, w tej muzyce słyszy się, czuje, poznaje, że naród nasz, ziemia nasza, że cała Polska żyje, czuje, działa: in tempo rubato.

Dlaczegoż w Szopenie właśnie ozwała się tak silnie dusza narodu, dlaczego z jego serca głos rasy naszej, jak z głębin ziemi niezbadanych zdroj kryształowy, wytrysnął potężny, ożywczy, przeczysty? Spytajmy o to tego, który „łono tajemnic odmyka”... On nam nie wszystko jeszcze powiedział i bodajże nigdy wszystkiego nie powie...

Zwyczajny „krwie polskiej” słuchacz, z wielką sztuką muzyczną nieoswojony, arcydzieł Bacha, Mozarta, Beethovena słucha niechętnie, czasem niecierpliwie. Kunsztowna wielogłosowość, bogactwo przeróżnych dźwiękowych powikłań, jasne dla wyćwiczonego umysłu, niedostępne dla jego ucha; myśl jego się gubi w misternych fugach, uwaga się błąka i rozprasza wśród marmurowych kształtów pięknej lecz germańskiej sonaty; w przedziwnych gmachach klasycznej symfonii zimno mu jakoś i nieswojsko, jak w obcym kościele, prometeuszowego bólu największego z muzyków świata, on odczuć nie potrafi. Ale niech się tylko odezwą szopenowskie dźwięki, nasz słuchacz krwie polskiej zmienia się od razu. Słuch się natęża, uwaga skupia, oko błyszczyci jaśniej, krew szybciej krąży; raduje się serce, choć i łzy spadają na lica. Czy to tańce rodzinnego Mazowsza, czy tęskne Nokturny, czy dziarskie Ziemi Krakowskiej odgłosy, czy tajemne Preludja, czy zamaszyste Polonezy, czy żywiołowe a przedziwne Etiudy, czy burzliwe a epickie Ballady, czy też bohaterskie Sonaty, on wszystko rozumie, odczuwa wszystko, bo wszystko to jego – polskie.

Rodzime powietrze owiewa jego istotę, swojski przed nim roztacza się krajobraz; pod niewyraźnym smutnego nieba błękitem szerokie ojczyściej ziemi równiny, sina wstęga lasów, pola uprawne, żyzne łąny, ugory, piaski ubogie... U stóp łagodnych pagórków zielone łąki niziny, od których pod wieczór mroczne, tajemnic pełne idą opary. Szemrze woda ruczajów, szepcą płaczkliwie rzadkie brzozy i wierzby liście, wiatr muska wierzchołki topól wyniosłe, porusza zieloną falą żyta, pszenicy, a od borów sędziwych idzie woń zdrowa, żywiczna... Twory prastarej przodków wyobraźni zdają się napełniać tę przyrodę, obumarłych bóstw postaci wśród wiosennej nocy budzą się znowu do życia. Scherzo! Niby cała mitologia, jakieś bogów i bożków, bogiń i boginek mocarne krotoczwile. Po łąkach i polach wiją się przeróżne dziwy. W gęstych zaroślach mocują się wilkołaki. Igrają figlarnie chochliki. Lubeczki i miłosteńki krążą w płasach zalotnych, to znów otaczają kołem bogiń królowę, naszą miłości królowę, Dziką, by pieśni jej posłuchać, pieśni, co się dobywa z piersi rozwartej, z której widnieje kochaniem wezbrane serce całe – serce Polski. Czasem odwieczny Perun się odezwie i zagrzmi, ponuro, groźnie, uroczyście... Drżą święte gaje, spłoszone rusałki znikają z powierzchni jeziora. A oto niebo płonie od błyskawic ognia. Wicher się zerwał straszliwy i pędzi, i goni, i niszczy, i

łamie... Śród burzy odmętu runęły sklepienia tak ongi dumnej i władnej derwidów  
świętnicy...

Słucha nasz Polak. Tchnienie lata na ojców ziemi ogarnia jego duszę. Żłote morze  
pszenicy gdzieś wyschło. Zboże już w snopach i kopach – spoczęły sierpy. Fruwają lekkie  
przepiórki i poważniejsze kuropatwy, badając skrzętnie zasobne jeszcze rżyska. Od pieśni  
żniwiarnych drżą jeszcze powietrzne fale; z łągów i pastwisk dochodzi odgłos fujarki  
pastuszej. W wiejskiej opodal gospodzie rażno i gwarno. Grają zręcznie skrzyпки, grają od  
ucha potrącając często o tę swojską, plemienną, zwiększoną kwartę, wtóruje im uparcie  
pedał prostaczej basetli, a lud nasz tańczy żwawo, zamasyście, lub śpiewa zwolna, z  
zadumą, ten lud nasz zdrowy a kapryśny, wesoły a przepojony tęsknotą. W kościółku  
grają ubogie organy. Tuż niedaleko, w dworze okazałym żarzą się światła po komnatach.  
Szlachty dostojnej, śnać po sejmiku, tłum barwny, lśniący. Zabrzmiała kapela. Pan  
podkomorzy, a może ktoś godniejszy, co z wieku i urzędu to mu się należy, poloneza  
poczyna. Brzęczą karabele, szeleszczą wzorzyste materje i purpurowe kontuszów wyloty.  
Posuwistym krokiem idą dumne pary. Ku pięknym oczom, ku licom gładkim, staropolskiej  
mowy płyną słowa gładkie, męską łaciną z gęsta przeplatane. Czasem ktoś nieśmiało i  
francuszczyzną zatraci... A gdy skończyli, starzec siwowłosa o długiej brodzie, o  
srebrzystym głosie, przy dźwiękach gęśli, dudarza, przy lutni i harf wtórze, jakąś  
zamierzchłą baśń opowiada. Mówi o Lechu, Kraku, Popielu; o Balladynie, Wenedzie,  
Grażynie; prawi o zamorskich krajach, o włoskiem niebie, o świetnych turniejach,  
trubadurów pieśniach; śpiewa o białym orle i o bratniej Pogonii, o zwycięskich walkach i  
bitwach przegranych, o bojach sławnych, wielkich, nieśmiertelnych, choć  
nieskończonych, nierozstrzygniętych... Wszyscy go słuchają, wszyscy rozumieją...  
Podczas gdy w ogrodzie, śród woni róż, jaśminu, lilij westchnień czystych, pobłażliwego  
lip starych poszeptu, przy gwiazdzistym nokturnie urocza kasztelanka smętnemu  
młodzianowi czyni miłośne nocy letniej zwierzenia...

Minęło już lato i lata minęły. Minęły sławne pancernych rycerzy pochody, opadły  
skrzydła nieustraszonych husarzy, co pruli zwycięsko morskie Bałtyku fale, ułanów  
przemężne szarże zakuły się w spiżowe narodowej chwały wspomnienie... Jesień  
nadeszła, Preludja jakby Epilogi! Czy to jesień życia? Nie. To życie jesieni. Staroświecki  
zegar, co dziadom, pradziadom lepsze mierzył czasy, wybija teraz poważnie późną, nocną

godzinę. Wiatr wyje ponuro w pustkę komina. Słysząc miarowe krople jesiennego deszczu; słysząc spadanie zwiędłych na ziemię liści i osieroconych gałęzi szmer po nich żałości. Na starych cmentarzach, na dawnych kurhanach i uroczyskach latają widma, upiory, snują się posępne duchów korowody. Jakież to widma, upiory? Duchyż to czyje? Azaliż to Żółkiewski, Czarniecki? Azaliż to Bogusław i Janusz Radziwiłłowie, Radziejowski? Czy to nie ta szlachetna – i dziś mimo wszelkie nieszczęścia – wyniosła, świetlana, jasna, jasnogórska Kordeckiego postać? Czy to nie Siciński? A może to Reytan, a może nieszczęsnej targowicy marszałek Szczęsny? Może Bartosz Głowacki, a może i Szela?... O nie! Oni do historii należą, a historia to czcigodna, a wybredna strażniczka, co wprawdzie, stojąc u progu wieczności, wpuszcza do przybytku zarówno złych jak i dobrych, lecz samych tylko wielkich. Ta zaś muzyka to część wieczności samej i w niej się wszyscy mieszczą: wielcy i mali, możni i ubodzy, sławni i bezimienni, tylko wyjęci z przywar i zbrodni ziemskiej powłoki, skąpani w źródle najczystszej duszy, upiększeni, uszlachetnieni.

Bo Chopin upiększał, uszlachetniał wszystko. On odkrył w głębi ziemi polskiej najdroższe kamienie, on z nich uczynił najcenniejsze skarbnicy naszej klejnoty. On, bodajże najpierwszy, nadał chłopu polskiemu najponętniejsze szlachectwo, bo szlachectwo piękna. On wprowadził chłopka naszego w świat szeroki, wielki, na zamkowe przepychem lśniące sale; on postawił go obok dumnego wojewody, obok sławnego wodza sielskiego postawił pastuszka, obok możnowładnej pani wydziedziczoną umieścił sierotę. On – poeta, czarodziej, potężny z ducha monarcha – zrównał wszystkie stany, nie tu na poziomie, na codziennego życia nizinach, lecz – hen, wysoko – na najwznioślejszych szczytach uczucia.

Tak Polak słucha Szopena. Tak słucha on rasy swej całej wielkiego głosu. Od cichej, słodkiej, świetlanej, powiewnej kołysanki począwszy, aż do tych dwu sonat groźnych i mocnych, jakby z bohaterskiego kruszcu ukutych – to cała skala jego i jego narodu życia. On widzi siebie niemowlęciem, jak mu nad kołyską w dzień słoneczny, upalny przygrywa orkiestra motyli, jak mu skrzętnych rój pszczołek brzęczy miodowo, jak mu chór ptasząt świergoce po cichu, by nie obudzić uspiętego... On widzi swe dzieciństwo sielskie, anielskie, swoją młodość górną i chmurną, swój wiek męski, wiek klęski... A oto i kres jego żywota. Oto już koniec marzeń, walk i cierpień. Na posępnym wozie dom jego

ostatni, ciasny, ubogi... Ku otwartemu łonu macierzystej ziemi wiozą jego szczątki doczesne, a w tej ostatniej na sen wieczorny wędrowce przygrywiają mu jeszcze potężne a ponure archaniołów trąby... Słucha Polak i roni łzy czyste, rześiste. Tak my wszyscy słuchamy. Bo i jakże go słuchać inaczej, tego, z Bożej mocy, piewcy polskiego narodu?...

Szopen przyszedł na świat już po dokonaniu troistego nad naszą Ojczyznę mord. Na niebie Europy świeciła wówczas w całej pełni gwiazda Napoleona, ta gwiazda, z której jasne smugi nadziei miały jeszcze w Polsce długie przetrwać lata. Dzieciństwo jego zeszło wśród względnych swobód ówczesnego Królestwa, wykrojonego jak serce z żywego ciała narodu. Już się zanosilo na tę gwałtowną nawałnicę, która całą dawną Polską wstrząsnąć miała, gdy Szopen kraj zegnał na zawsze. Odjechał, ale nie sam. Wywiózł ze sobą to, co Mickiewicz gdzieś jako „genius loci” określa, a co byśmy chętnie: „genius patriae” nazwali. Wywiózł ducha ziemi ojczystej, który go nie opuścił aż do zgonu. Temu też możemy zawdzięczać, że go nam, choć nie brakło chęci, nie zrabowano. Nawet przez ojca spokrewniona z nim Francja nie myśli się zdobić w jego sławy promienie. Nie dlatego, że monarchów nikt o krew nie pyta, że królewskie duchy z berłem i koroną przyjmują serc podwładnych narodowość, lecz że w szopenowskiej tajemnej, głębokiej, uczuciowej, wulkanicznych wybuchów pełnej twórczości nie ma zgoła pierwiastków rasy francuskiej, bo nawet forma nie posiada cech bezdusznej dworskiej elegancji, jeno jakąś możnowładczą wytworność. Nawet ten naród liczny, mnogi, ten naród silny, a bez morza, który by to morze chętnie ze wszystkich rzek słowiańskich wytworzył, ten naród co nam wziął już tyle, na Szopena dotychczas nie podniósł zaborczej ręki. Choć on Słowianin – ale taki inny. Bo jakże daleko od jego krasy, od jego czaru, od jego bogactwa barw, światła i cieni do tej ponurej, a monotonnej, choć mądrej rosyjskiej muzy, na której licach uśmiech pogody i promień szczęścia zda się, że nigdy nie powstały. Jakaż to przepaść dzieli jego tęsknotę, jego smutek, jego tragizm przygodny, od tamtej rozpacz, co wieje na nas jak mroźny, groźny wicher od stepu, od stepu bez miary, bez granic i bez nadziei...

Wkrótce po wyjeździe Szopena, na ziemi jego rodzinnej, a zwłaszcza w ościennych województwach ucisk zapanował – jak wiadomo – straszny; ucisk, którego bezprzykładne okrucieństwo tylko jakąś bezmyślną, dziką na niewinnych zemstą za długie jarzmo tatarskie wytłumaczyć można. Zabraniano nam wszystkiego: mowy ojców, wiary przodków, czci dla świętych przeszłości pamiątek, strojów, obyczajów, pieśni



narodowych... Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Nie zabroniono nam tylko Szopena. A jednak w Szopenie tkwi wszystko, czego nam wzbraniało: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie wyzywające rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń. Przez długie lata udręczeń, męki i prześladowań, przez długie lata znękanych myśli naszych najtajniejsze nici z nim się wiązały, ku niemu się tuliły zbolełe serca nasze. Ileż ich on ukoił, pokrzepił... a może i nawrócił. Wszak on był i tym przemytnikiem, co w zwitkach nut niewinnych rodakom po kresach rozszanym rozwoził zakazaną polskość; wszak on był i tym kapłanem, co nas rozproszonych w święty Ojczyzny zaopatrywał sakrament.

Stoi on teraz w blasku ziemskiej chwały, w nieśmiertelnych promieniach wdzięczności narodu, cały umajony w zawsze świeże wieńce ze czci, podziwu, z zachwytu i miłości uwite. Ale nie stoi sam. „Genius Patriae”, duch ziemi ojczystej, duch narodu nie opuszcza go, nawet po śmierci...

Człowiek, choćby największy, ani nad narodem, ani poza narodem być nie może. On jest z jego ziarna, jego cząstką, jego kwiatem, jego kłosem, a im większy, mocniejszy, urodziwszy, tem serca narodu bliższy... Szopen może nie wiedział, jakim był wielkim. Ale my wiemy, że on wielki naszą wielkością, że on silny naszą siłą, że on piękny naszym pięknem. On nasz, a my jego, albowiem w nim się objawia cała nasza zbiorowa dusza. Więc krzepmy serca do wytrwania, do trwania, myśli skrojmy do czynów, do dzielnych, do sprawiedliwych, uczucia podnośmy do wiary, do silnej, bo nie ginie naród, co ma taką wielką, nieśmiertelną duszę...